

*Kiedy
miasto śpi*

KOBIETY ZE ŚRÓDMIEŚCIA

ELIZABETH
CAMDEN

d





*Kiedy
miasto śpi*



ELIZABETH
CAMDEN

TŁUMACZYŁA MAGDALENA PETERSON

Tytuł oryginału:

While the City Sleeps (Woman of Midtown #1)

Autor:

Dorothy Mays

Tłumaczenie z języka angielskiego:

Magdalena Peterson

Redakcja i korekta:

Dominika Wilk

Skład i opracowanie graficzne:

Anna Brodziak

ISBN 978-83-68304-00-8

Cover design by Dan Thornberg, Design Source Creative Services

Background images: Shutterstock

myriammira / Freepik.com

freepik / Freepik.com

© 2024 by Dorothy Mays by Bethany House Publishers,
a division of Baker Publishing Group, Grand Rapids, Michigan, 49516, U.S.A.

© 2024 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Rzeszów 2025, wydanie I

Druk: Drukarnia Opolgraf

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

1



NOWY JORK
KWIECIEŃ 1913

Ludzie rzadko byli w dobrym nastroju, gdy siedzieli na fotelu dentystycznym, ale Vittorio, pacjent doktor Katherine Schneider, podśpiewywał. Kiedy pojawił się w gabinecie, był przerażony, ponieważ nigdy wcześniej nie odwiedzał dentysty, jednak środek uspokajający w końcu zadziałał. Podtlenek azotu, nazywany gazem rozweselającym, często dawał efekt uboczny w postaci euforii.

– Jak się pan czuje? – spytała Katherine, a mężczyzna uśmiechnął się do niej szeroko.

– Życie jest cudowne – odparł, po czym wrócił do nucenia.

Vittorio dla wsparcia przyprowadził ze sobą brata. Ten nie podzielał jego radosnego nastroju i przerwał mu śpiewanie ostrym, bezceremonialnym potokiem słów wypowiedzianych po włosku.

Katherine spojrzała na Vittoria.

– Co on powiedział?

– Gino nie wierzy, że kobieta może być prawdziwą dentystką.

– Jestem prawdziwą dentystką – zapewniła, wskazując na wiszący na ścianie dyplom ukończenia Filadelfijskiego Wydziału Stomatologicznego z 1911 roku. Należała do grona czterech kobiet w swoim roczniku, jednak nie było dnia, żeby ktoś nie kwestionował jej kwalifikacji.

– Gina to nie przekonuje – odparł Vittorio. – Chce wiedzieć, czy jest ktoś inny, kto mógłby mi usunąć ząb.

Drugim z dentystów, który pełnił dyżur o tak późnej porze, był doktor Alvin Washington. Zamierzał dzisiaj wyjść wcześniej w związku z uroczystą kolacją z okazji rocznicy ślubu, którą miał świętować ze swoją żoną będącą w zaawansowanej ciąży. Jeśli jednak pacjent odmawiał wizyty u kobiety, mógł go przyjąć w zastępstwie.

Katherine otworzyła drzwi swojego niewielkiego gabinetu, żeby zawołać kolegę.

– Doktorze Washington? Mógłby pan przyjść? Mój pacjent czułby się lepiej przy mężczyźnie.

Alvin rozmawiał z dozorcą w lobby, ale uprzejmie ruszył korytarzem, mijając sześć innych gabinetów, które były już zamknięte, a następnie wszedł do środka. Musiał ostrożnie poruszać się po ograniczonej przestrzeni pomiędzy fotelem dentystycznym a stolikiem, na którym połyskiwały przygotowane do pracy narzędzia.

Vittorio zerknął na niego i pobladł.

– To jest dentysta?

– Tak, jestem dentystą – potwierdził Alvin. – Ukończyłem Wydział Stomatologiczny na Uniwersytecie Harvarda w tysiąc dziewięćset szóstym roku.

– Ale pan jest czarnoskóry! – odezwał się Vittorio, zaskoczony i oszołomiony. Gaz rozweselający pozbawiał ludzi zahamowań, dlatego też wygadywali, co tylko przychodziło im do głowy. Katherine i Alvin już do tego przywykli.

– Tak, jestem czarnoskóry – stwierdził doktor Washington. – A pana chyba bardzo boli ten zainfekowany ząb. Jeśli chce go pan mieć dzisiaj usuniętego, mogę to zrobić ja albo pani doktor Schneider. Chyba że zaczeka pan do jutra.

Od rana w przychodni, jednej z największych i najnowocześniejszych w kraju, można było spotkać cały zespół dentystów.

Właściciel, doktor Edgar Parker uważał, że gabinety powinny być otwarte do późna, żeby dopasować się do godzin pracy robotników, ponadto pacjenci powinni być leczeni przez osoby, przy których czuliby się komfortowo. Przyjmowali więc tutaj dentyści mówiący biegle po niemiecku, rosyjsku i chińsku. Parker zatrudniał również czarnoskórych stomatologów, a także kobiety. Jego pracownicy wyglądali podobnie jak zróżnicowana społeczność Nowego Jorku, dzięki czemu zlikwidowana była przynajmniej jedna przeszkoda, z powodu której ludzie mieli opór przed wizytą u dentysty.

Vittorio i jego brat naradzali się po włosku, a Katherine czekała. W końcu mężczyzna spokojnie usiadł na fotelu.

– Chcę, żeby zrobiła to kobieta – oznajmił. – Ma mniejsze ręce.

– Świetne uzasadnienie – stwierdziła dentystka, a doktor Alvin uśmiechnął się z ulgą. Żona i uroczysta kolacja już na niego czekały.

Washington wyszedł, a Katherine zaczęła przygotowywać narzędzia do ekstrakcji. Jedyny ból, jaki Vittorio miał poczuć, to ten w momencie wstrzykiwania w dziąsło środka uśmierzającego wynalezionego przez doktora Parkera. Był niezwykle skuteczny, dzięki czemu usuwanie zębów było zaledwie trochę niekomfortowe, a nie bolesne.

Mimo że Vittorio czuł się dobrze po gazie rozweselającym, Katherine chciała, żeby był zupełnie rozluźniony, zanim zrobiłaby mu zastrzyk. Ścisnęła gumową gruszkę, aby podać kolejną dawkę podtlenku azotu do maski, podczas gdy pacjent głęboko oddychał. Uśmiechnął się, odsunął maskę, po czym wrócił do wypowiedzianego dziwnego zbioru myśli, przeskakując z jednego tematu na drugi w sposób zupełnie pozbawiony logiki.

– Kleopatra była boginią Nilu – wydukał. – Może się wścieknie, kiedy zobaczy, co narobiliśmy. Co pani sądzi, pani doktor?

Czy Kleopatra się na mnie zdenerwuje, czy jest po prostu martwa i nie będzie się czepiać?

– Kleopatra nie żyje – zapewniła go Katherine. – Proszę otworzyć szeroko usta. Poczuj pan lekkie ukłucie. Proszę się nie ruszać.

Pacjent wykonał polecenie, ale cicho jęknął, kiedy wstrzykiwała mu w dziąsło lek znieczulający. To był zawsze najgorszy moment. Cofnął się nieznacznie, jęcząc, ale nie stawiał oporu.

Obydwoje odetchnęli z ulgą, kiedy zastrzyk się skończył. Miało potrwać kilka minut, zanim wstrzyknięta substancja zacznie działać. Katherine przygotowywała waciki, a Vittorio odmawiał zdrowaśkę, żeby Matka Boża się nad nim zlitowała. Dorzucił jeszcze na wszelki wypadek prośbę do Świętego Patryka, bo „stary dobry Patryk” był z niego niezadowolony.

– Nie lubię Świętego Patryka – stwierdził Vittorio. – Tak, wypędził węże z Irlandii, ale co w ogóle zrobił dla Włochów? Nic! Nie powinienem się z tym źle czuć. Święty Patryk zasługuje na to, co go spotka.

Nie było niczym niezwykłym, że pacjenci pod wpływem narkotyków wypowiadali się chaotycznie. Czasem ludzie byli rozbawieni, inni stawali się płaczliwi. Vittorio znalazł się w filozoficznym nastroju i spekulował na temat różnych osobistości z historii świata.

Katherine dała mu ostatnią dawkę podtlenku azotu. Tym razem przyjął go z przyjemnością i chwycił jej dłoń przytrzymującą maskę, żeby mocniej zaciągnąć się gazem.

Dentystka wzięła maskę, po czym przysunęła bliżej stolik na kółkach, na którym znajdowały się narzędzia. Vittorio kontynuował swój wywód.

– *Lorna Doone* – odezwał się rozmarzonym głosem. – Czytała pani kiedyś taką książkę, pani doktor?

– Nie, nigdy.

– To bardzo smutna opowieść. Biedna Lorna Doone. Przynajmniej nie była starszą panią. Nudną szarą damą, która nas nie-
nawidzi. Nie, Lorna Doone nie jest jak ta okropna szara dama.

– Czas przestać mówić – odezwała się kojącym głosem. – Proszę otworzyć szeroko usta, możemy zaczynać.



Nie było czegoś takiego jak bezbolesna stomatologia, mimo że przychodnia nazywała się Parker Bezbolesny Dentysta. To był pomysł jej szefa, który wywołał oburzenie wśród wszystkich szanowanych dentystów w mieście.

Tradycyjni stomatolodzy uważali doktora Parkera za zagrożenie wobec godności ich zawodu. Twierdzili, że jego szerokie grono pracowników przyjmuje pacjentów, jakby to była jakaś linia produkcyjna. Nie podobało im się, że przychodnia Edgara jest otwarta w niekonwencjonalnych porach. Jego stawki były zdecydowanie niższe od tych, które naliczali inni dentyści. Oburzały ich jego krzykliwe reklamy, liczni zatrudnieni, a także fakt, że człowiek, który zaczynał swoją karierę jako wodewilowy wyrzucacz zębów, był teraz najbogatszym dentystą w kraju.

Jednak nic nie gorszyło dentystycznego światka tak bardzo jak nazwa jego przychodni. Twierdzono, że Parker Bezbolesny Dentysta to kłamliwa reklama. Edgara nie było w pracy od miesiąca, ponieważ zmagął się z pozwem wytoczonym mu przez Amerykańskie Stowarzyszenie Stomatologiczne, które domagało się, żeby zaprzestał używania tej nazwy. Sieć przychodni Edgara na obu wybrzeżach funkcjonowała pod taką firmą, dzięki czemu klienci dobijali się do nich drzwiami i oknami. Większość dentystów stosowała podobne leki znieczulające, ale Edgar Parker był tym, który w przesadny sposób podkreślał to w nazwie gabinetów.

Po tym, jak Katherine skończyła swoją pracę, pomogła Vittorioowi powoli podnieść się z fotela, podtrzymując mu plecy. Mężczyzna miał przyłożony do ust kawałek lodu owinięty ręcznikiem, ale zdobył się na niepewny uśmiech.

– Dobrze się pan czuje? – spytała.

– W porządku, pani doktor.

Zerknęła na jego brata i skinęła, żeby teraz przejął opiekę. Zaczekała, aż mężczyzna otoczył go ramieniem, po czym odprowadziła ich korytarzem, przez poczekalnię, a następnie główne drzwi w ciepłą czerwcową noc.

Kiedy szli na stację metra, Vittorio opierał się o brata i głośno śpiewał refren swojej piosenki o drzewie rodzącym słodycze. Zwykły przechodzień wziąłby ich za dwóch pijaczków, jednak efekty działania leku miały niedługo ustąpić. Gdy wmieszali się w tłum na Times Square, Vittorio szedł już samodzielnie.

Była już dwudziesta pierwsza, a na Katherine czekała jeszcze jedna pacjentka. Birdie Jamison miała na rękach blizny i zadrapania charakterystyczne dla kogoś, kto pracował w fabryce konserw. Kobieta nigdy nie mogłaby sobie pozwolić na wizytę w eleganckiej przychodni dentystycznej z zasłonami w oknach i tapicerowanymi fotelami w poczekalni. Katherine uśmiechnęła się do niej i zaprosiła ją do gabinetu.

Może Parker Bezbolesny Dentysta był nieznacznie lepszy niż linia produkcyjna, ale w Nowym Jorku mieszkało niemal pięć milionów osób. Jedna trzecia z nich urodziła się za granicą i żyła w warunkach dalekich od komfortu. Całe szczęście istniały gabinety dentystyczne, które niosły pomoc tym, którzy nie mogli sobie na nią pozwolić nigdzie indziej. Biedni ludzie odczuwali ból tak samo jak bogaci i zasługiwali na dostęp do przyzwoitych lekarzy.

Katherine miała nadzieję, że Edgar wygra w procesie sądowym, ponieważ jeśli zakazano by mu stosowania krzykliwych

reklam, przychodnia musiałaby zostać zamknięta. Oznaczałoby to, że pacjentów takich jak Birdie Jamison nie byłoby stać na podstawową opiekę stomatologiczną, a Katherine straciłaby pracę.



Ostatnią czynnością Katherine przed zamknięciem gabinetu było zdjęcie białej tuniki ze stójką, którą nosiła, kiedy przyjmowała pacjentów. Zamieniła ją na wcięty w pasie żakiet, po czym przyglądała sobie zaczesane do góry ciemne włosy i ułożyła kilka luźnych kosmyków, żeby obramowały jej twarz, ponieważ... lubiła ładnie wyglądać w obecności na porucznika Bircha.

Zawstydzalo ją, że tak bardzo przejmowała się zdaniem tego uroczego policjanta, szczególnie że nigdy nie okazał zainteresowania jej względami. Jednak dlaczego zawsze pojawiał się po zakończeniu jej pracy i odprowadzał ją do metra? Robił to już od dwóch lat i nie należało to do jego oficjalnych obowiązków. Był wobec niej bardzo opiekuńczy.

Katherine wzięła z pomieszczenia dla pracowników dużego precla, po czym udała się do lobby. Doktor Friedrich pochodził z Niemiec i często przynosił świeże precle dla swoich współpracowników. Ostatnią osobą, jaka jeszcze została w przychodni, był Hector, dozorca, który był zajęty sprzątaniem.

– W pokoju dla pracowników są jeszcze precle, jeśli ma pan ochotę – zaproponowała mu Katherine.

– Już się poczęstowałem – odpowiedział, nie podnosząc wzroku i kontynuując mycie podłogi. Oboje mieli dziś pracowity dzień. – Dobranoc, pani doktor.

– Dobranoc, panie Hectorze – pożegnała się, po czym wyszła przez główne drzwi. Odwróciła się, żeby podziwiać imponujący widok na Times Square o północy, rozświetlony setkami

latarni ulicznych i neonów teatralnych. Nocna atmosfera była pełna ekscytacji, żwawa muzyka dochodziła z restauracji obsługujących zamożnych klientów po zakończeniu spektakli. Nawet o północy ta okolica była rozpromieniona feerią świateł.

To dlatego doktor Parker otworzył przychodnię właśnie w tym miejscu. Pacjenci nie czuliby się bezpiecznie, wybierając się późną porą do dentysty, gdyby nie przyjmował on w czystej i dobrze oświetlonej części miasta. Większość osób odwiedzająca Times Square widziała jedynie połyskujące światła i ludzi uczestniczących w jednej wielkiej imprezie. Katherine dostrzegła jednak inną stronę słynnej dzielnicy teatrów w centrum Manhattanu. Nic nie doszłoby do skutku bez pracowników nocnej zmiany. Kucharze i kelnerki podawali jedzenie, a aktorzy, tancerze i muzycy dawali przedstawienia. Policjanci patrolowali plac, a motorniczy tramwajów wozili ludzi. Dozorcy sprząтали budynki, a piekarze wyrabiali już ciasto na jutrzejsze śniadanie. Znajdujący się naprzeciwko budynek redakcji „New York Timesa” przez całą noc był oświetlony jak choinka. Pracujący wewnątrz dziennikarze, redaktorzy i drukarze spieszyli się, żeby przygotować gazetę do sprzedaży o poranku.

Rodzice Katherine, którzy mieszkali w Ohio, martwili się nieustannie o jej późne godziny pracy, jednak ona miała dwadzieścia osiem lat i swobodnie poruszała się po mieście. Sześć lat po tym, jak wyjechała z Ohio w następstwie upokorzenia i złamanego serca, spełniła swoje nieprawdopodobne marzenie i została dentystką. Rany z czasem się uleczyły, ponieważ nic nie działało tak dobrze na złamane serce jak zauroczenie innym mężczyzną, nawet jeśli było nieodwzajemnione.

Rozejrzała się i przeszła szybko przez ulicę. Stacja metra znajdowała się trzy przecznice dalej. Katherine zaczęła jeść precla, który był już nieco twardy, po czym strzepnęła sobie z brody kilka okruszków.

Porucznik Birch, jak w zegarku, wynurzył się z tłumu nieco dalej i ruszył w jej kierunku. Podziwiała jego kształtną zuchwę i cichą intensywność spojrzenia, częściowo skrywanego pod daszkiem policyjnej czapki. Zawsze czujny, spokojny i niewzruszony. Był prawdopodobnie w okolicach trzydziestki i za każdym razem, kiedy odprowadzał Katherine do stacji metra, zwracał na siebie uwagę kobiet.

Uchylił czapkę na powitanie.

– Dobry wieczór, pani doktor Schneider.

Sposób, w jaki wypowiadał jej nazwisko, zawsze przyprawiał ją o dreszcz. Jego ton był uprzejmy i precyzyjny, a głos jakby aksamitny.

– Poruczniku Birch – odwzajemniła powitanie, próbując zabrzmieć równie nonszalancko. – Jak pański wieczór?

– Dobrze.

Fakt, że nie mówił nic więcej, nie był żadnym zaskoczeniem. Porucznik Birch nigdy nie opowiadał o sobie. Nie oddzielał swojego życia osobistego jakąś zwykłą granicą. Strzegł go jak fortecy otoczonej drutem kolczastym i reflektorami, które miały trzymać z dala intruzów. Po dwóch latach wiedziała o nim jedynie to, że bardzo cenił kuchnię włoską.

Zerknął na trzymanego przez nią precla.

– Chyba nie do końca lubi pani precle, prawda? Są takie suche i bez życia. Niech pani spróbuje tego. To znacznie lepsze.

Podał jej papierową torebkę, a Katherine zerknęła do środka i zobaczyła złocisty placek posypany ziołami. Był jeszcze ciepły. Urwała kawałek miękkiego ciasta i poczuła ziołowy zapach, od którego aż wzmógł jej się apetyt. Wyrzuciła resztkę precla, a ten uderzył głośno o wnętrze kosza.

– To *focaccia* – powiedział porucznik Birch. Powtórzył i prze-literował dla niej to słowo. Świeży wypiek miał niezwykły aromat, a pod złocistą skórką skrywała się delikatna tekstura.

– Dlaczego uważa pan, że precle są bez życia? – spytała, kiedy szli, równo stawiając kroki.

– Precle to nic poza mąką i drożdżami, a ciasto soli się i gotuje. Ale *focaccia*... – Gdy wypowiedział to słowo, jego ton głosu stał się cieplejszy. – *Focaccia* to włoski chleb nasączony oliwą z oliwek, tłoczoną na zimno zaledwie kilka dni wcześniej. Posypywany rozmarynem i oregano. Jest tak świeża, że w ziołach można niemal wyczuć smak słońca.

Skąd tyle wiedział na temat wyszukanego jedzenia? Przyjaciółka Katherine, Blanche, miała brata policjanta, który powiedział, że porucznik Birch dorastał w bardzo skromnym sierocińcu, gdzie Kate czasem oferowała darmową opiekę dentystyczną. To nie było miejsce, gdzie ktokolwiek nauczyłby się doceniać wykwintne jedzenie. Kiedyś oglądała tamten budynek, a w wielkiej kuchni znajdowała się owsianka i beczki z ryżem, a nie tłoczona na zimno oliwa czy zioła, które pachniałyby słońcem.

Chciała się z nim podroczyć, że tak poetycko wypowiadał się o kawałku ciasta, ale miała pełne usta, a sposób, w jaki opisał jego smak, sprawiał, że niemal uwierzyła w to, że czuje aromat słońca. Podczas ich licznych późnych spacerów nauczył ją wiele na temat jedzenia. Czasem przynosił jej zagraniczne słodycze, innym razem kawałki sera. Pokazał jej różnicę między orzechowym aromatem *pecorino* a bardziej wytrawną nutą parmezanu. Twierdził, że nabył tę wiedzę, gdyż mieszkał nad włoską restauracją, a posiłki były wliczone w czynsz.

Tuż przed nimi hałaśliwy tłum gromadził się na zewnątrz jasno oświetlonego gmachu opery. Lekko wstawiony jegomość zachwiał się na krawężniku i wylał sobie wodę na śnieżnobiałą elegancką koszulę. Jakiś inny pan, również w smokingu, pomógł swojemu towarzyszkowi stanąć prosto.

Porucznik Birch wyciągnął rękę nad ramieniem Katherine, nie dotykając jej, ale osłaniając. Jonathan Birch nawet jej nie

musnął, ale kiedy mijali grupę teatromanów, była zadowolona z jego ochrony. Panie prawdopodobnie należały do chóru, ponieważ nadal miały sceniczny makijaż i błyszczącą biżuterię. Ktoś mógłby je uznać za damy lekkich obyczajów, ale Katherine widziała w nich ciężko pracujące osoby, które odbywały próby przez całe popołudnia, a każdego wieczora brały udział w dwóch spektaklach. Zasługiwały na szacunek.

Jedna z młodszych kobiet wyprostowała się, kiedy ich zauważyła.

– Poruczniku! – zawołała melodyjnym głosem, po czym podeszła w podskokach w ich kierunku i pocałowała Bircha w policzek, zostawiając ślad czerwonej szminki. Wytarł go chusteczką, ale nie dał rady zetrzeć sobie rumieńców. Miło było zobaczyć, jak ten poważny i staromodny mężczyzna zawstydza się z powodu śmiałej kobiecej uwagi. – Czy on nie jest słodki? – odezwała się kobieta, obejmując go za szyję, jednak Birch delikatnie się wycofał.

– Nancy, zmykaj – rzucił.

Kobieta zrobiła kwaśną minę.

– Jak to jest, że zawsze mi pan mówi, żebym zmykała. Dlaczego nigdy nie pójdzie pan z nami na drinka?

Chwiejący się mężczyzna w smokingu czknął.

– On jest w pracy, Nancy.

Nie wszystkie kobiety były pijane. Kilka z nich wyglądało na zmęczone i gotowe, żeby już iść do domu, ale nawet one przyglądały się porucznikowi z zainteresowaniem.

Był przystojnym mężczyzną, z krótko obciętych brązowymi włosami i jasnoniebieskimi oczami. Nie wydawał się szczególnie wysoki ani umięśniony. Jego sylwetka była raczej drobna, ale miał wyrazisty wygląd, dzięki któremu sprawiał wrażenie silnego. A może to nie było odpowiednie określenie. Niebezpiecznego? Groźnego? Żadne z tych słów nie oddawało energii, jaką

w sobie skrętnie skrywał. Jednak nie był tak naprawdę w żaden sposób zagrażający. Stanowił dla niej uosobienie prawości. Przez cały czas, odkąd się poznali, nawet nie tknął jej palcem. Czasem ich dłonie spotykały się przypadkiem, kiedy podawał jej kawałek sera czy *focaccię*, tak jak dzisiaj, jednak zawsze szybko się wycofywał, zostawiając ją z poczuciem niedosytu.

Troszczył się o nią. Nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego tak było, ponieważ nigdy nie próbował się z nią spotykać poza tymi nocnymi spacerami do stacji metra. Porucznik Birch pracował na nocnej zmianie, od dwudziestej do ósmej rano, i w tym czasie znajdował dziesięć minut, żeby ją odprowadzić. Trwało to już od dwóch lat i nic nie wskazywało na to, że miałby kiedykolwiek nakłaniać ją do większej bliskości. To, że jej się podobał, było równie beznadziejne jak zaczepki dziewcząt z teatru, które zagadywały go, kiedy je mijał.

– Niech mi pani obieca, że nie napisze pani o tym w swoim artykule – odezwał się porucznik, gdy już zostawili za sobą tłum.

– Oczywiście, chyba że życzy pan sobie inaczej – odpowiedziała zaczepnie. Birch był jedną z nielicznych osób, które wiedziały o tym, że pisała anonimowe felietony zatytułowane *Kiedy miasto śpi*. Każdego miesiąca przybliżała różne nocne zawody, dzięki którym miasto było bezpieczne i przyzwoite. Do tej pory opisała pracowników szpitala i sortowni poczty, kierowców, operatorów central telefonicznych i piekarzy. W kolejnym miesiącu miała przyglądać się inżynierom nadzorującym działanie elektryczności. Porucznik Birch uparcie opierał się jej próbom przeprowadzenia wywiadu z nim. Był zbyt mało mówny, żeby podzielić się perspektywą swojego nocnego świata, jednak Katherine uważała, że ludzie pracujący o takiej porze powinni być dostrzegani i doceniani.

Uniosła dół spódnicę, kiedy schodzili do stacji metra mieszczącej się pod ulicą. Oderwała bilet ze swojej książeczki i udała

się na miejsce dla oczekujących, gdzie znajdował się kasetonowy sufit podtrzymywany przez białe kolumny. Mnóstwo ludzi kończyło pracę o północy, więc panował tam tłok. Z głębi wyłożonego płytkami tunelu zabrzmiało dudnienie pociągu z 12.15.

Porucznik Birch zaczekał, aż Katherine wsiądzie, po czym dotknął brzegu czapki.

– Dobrej nocy, pani doktor.

– Nawzajem, poruczniku.

Drzwi zasunęły się, a pociąg ruszył do ciemnego tunelu. Czy to było wszystko, co miało ją kiedykolwiek łączyć z tym mężczyzną? Przez dwa lata dbał o jej bezpieczeństwo i nie oczekiwał niczego w zamian, jednak Katherine wyczuwała, że za jego spokojnym, niewzruszonym wyrazem twarzy skrywa się cały świat tajemnic.

2



Porucznik Jonathan Birch dotarł na swój posterunek, kiedy słońce pojawiło się nad ulicami miasta. Okręg piętnasty miał swoją siedzibę w najstarszym i najbardziej zniszczonym budynku w całym Nowym Jorku, jednak on go uwielbiał. Zapach starych cegieł i gorącej kawy był odprężający. Znany odgłos obcasów na wiekowej drewnianej podłodze, postukiwanie maszyny do pisania i nieustanne żarty kolegów sprawiały, że czuł się tam jak w domu.

Jego ostatnim obowiązkiem było napisanie raportu z dzisiejszej nocy, która w większej części przebiegła rutynowo. Wyśledził ludzi parających się wyłudzeniami związanymi z hazardem w okolicy Hell's Kitchen i aresztował dwóch mężczyzn, którzy próbowali wydusić pieniądze od jakiegoś klienta, zbyt pijanego, żeby zaprotestować. Ponadto zebrał kolejne dowody w sprawie toczącej się przeciw salonowi gier, który zajmował się prostytutką. Porucznik był też odpowiedzialny za monitorowanie działań Rinaldich, rodziny mafijnej z Brooklynu, działającej w półświatku. Dante Rinaldi, nowy przywódca, zaczynał sięgać swoimi mackami na Manhattan, więc Jonathan nie mógł tego przeoczyć.

Najlepszą częścią jego dnia zawsze była Katherine Schneider. Spotkanie z nią w środku zmiany było dla niego tak trwałym

przyzwyczajeniem jak zapinanie guzików koszuli czy poprawianie policyjnej czapki. Gdy po raz pierwszy usłyszał o dentystce kończącej pracę o północy, instynktownie pojawił się, żeby ją chronić. Chuligani zwykle zachowywali się poprawnie, kiedy w pobliżu pojawiał się policjant w mundurze. Z czasem jednak okazało się, że lokalizacja przychodni dentystycznej została wybrana w sposób nieprzypadkowy. Znajdowała się w pobliżu stacji metra, a ochrona z pobliskich eleganckich teatrów pilnowała okolicy przed podejrzanymi typami. Mimo to ten fakt nie wpłynął na chęć Jonathana, żeby chronić Katherine.

Usiadł przy swoim biurku na kółkach, jednym z trzech przypisanych porucznikom. Zawartość każdej przegródki była idealnie poukładana. Po chaotycznym dzieciństwie, kiedy nie miał żadnej kontroli nad swoim życiem i otoczeniem, utrzymywał biurko w niezwykłym porządku. Mógłby pracować z zamkniętymi oczami i mimo tego wiedzieć dokładnie, gdzie znajduje się każde pióro czy strona z kartoteki.

Postukiwanie klawiszy maszyny do pisania rozbrzmiewało teraz z pełną głonością, chociaż Jonathan wolał pisać swoje raporty ręcznie. Nadal miał wieczne pióro Watermana, które dostał z okazji ukończenia szkoły. Z jego powodu wielokrotnie narażał się na drwiny, ponieważ nie chciał go nikomu pożyczać. Przez lata stalówka przyzwyczaiła się do jego charakteru pisma, a ktoś inny mógłby docisnąć ją pod niewłaściwym kątem i zniszczyć.

Drewniane krzesło zaskrzypiało, kiedy się odchylił i przez moment powachlował dopiero co napisanym raportem, żeby atrament wysechł.

Jake Kendry, oficer dyżurujący przy centrali telefonicznej, zerknął na niego.

– Słyszałeś, że Gallagher dostał wczoraj wyróżnienie?

Jonathan zamarł, nadal trzymając w ręku raport. W Nowojorskim Departamencie Policji miał tylko jednego wroga, a był to Sean Gallagher.

– Jakie wyróżnienie? – spytał celowo swobodnym tonem.

– Nagrodę za szczególne zasługi – odparł Jake. – Jakiś chłopak wpadł do wody z nabrzeża i stracił przytomność. Gallagher wskoczył za nim. Dzieciak prawdopodobnie by utonął, gdyby ten go nie uratował.

Jonathan nic nie odpowiedział, tylko ponownie zaczął wachlować dokumentem.

– Kto był świadkiem tego zdarzenia?

– Tomaso Conti. Wrócili razem na posterunek i wypełnili raporty. Kapitan Avery naciskał na wyróżnienie, ponieważ Gallagher z technicznego punktu widzenia ryzykował życiem, kiedy wskoczył za tym chłopakiem. To był głęboki i niebezpieczny skok.

– To dobrze – odpowiedział spokojnie Jonathan, po czym wstał i poprawił sobie krawat. Odłożył raport do akt, kiedy kierował się do drzwi. Zastanawiał się, co zrobić w sprawie wyróżnienia Gallaghera, ponieważ opierało się na kłamstwie.

Sean Gallagher nie potrafił pływać. Obaj dorastali w Szkole Cliftona dla Osieroconych Chłopców, gdzie konkurowali ze sobą we wszystkim, począwszy od ocen, aż do podrywania dziewczyn. W niemal każdej dziedzinie Gallagher wygrywał. Pływanie było jedyną rzeczą, w której Jonathan był w stanie go pokonać, ponieważ Gallagher miał dziwaczne lęki przed zamoczeniem sobie twarzy.

Dzień pracy Jonathana powinien był już dobiegać końca, tymczasem dopiero się zaczął. Miał do sprawdzenia fałszywy raport.

